

Nie ma „wojny zbożowej”. Czy będzie ta prawdziwa?

2 maja 2023

Kijów już zdążył się prawie obrazić, że nie wiedzieć czemu właśnie teraz Polska rozpoczęła „wojnę zbożową”, bo przecież władze w Warszawie wiedziały znakomicie jakie będą skutki zwiększonego napływu ukraińskiej produkcji rolnej i spożywczej już w momencie, gdy ochoczo i radośnie otwierały przed nią granicę.

A nawet, jak zdążyli podkablować ukraińscy przyjaciele – to strona polska wręcz naciskała, by więcej, szybciej i wszystko, no bo wiadomo, kto na tym ma zarobić... Na szczęście dla ukraińskich oligarchów, zachodniego kapitału i aferzystów z PiS-u nic konkretnego nie zaszło i po chwilowym medialnym zamieszaniu ukraińskie zboże, rzepak, owoce, mięso i wszystko, co tylko żyzne pola zawleczonego na Ukrainę GMO produkują, znów trafia do Polski, tylko pod przez nikogo nietraktowaną poważnie etykietą „tranzytu”.

Ukraińskie zboże nadal płynie do Polski

Bo w rzeczywistości Polska niczego, a już zwłaszcza żadnej „wojny zbożowej” z Ukrainą nie rozpoczęła. Po prostu Jarosław Kaczyński i rząd nie mogli dłużej ignorować protestów rolniczych, połączonych z potwierdzonymi informacjami o udziale polityków PiS w dostawach na rynek krajowy ukraińskiego zanieczyszczonego zboża, nazywanego eufemistycznie „przemysłowym”. Sytuacja była na tyle krytyczna, że groziła zakłóceniem wizyty Wołodymyra Zełenskiego w Warszawie, dlatego zdecydowano się na hałaśliwe, ale pozorowane gesty, w rodzaju zdymisjonowania ministra rolnictwa i wydania z naruszeniem nawet polskich przepisów

rozporządzenia niby to mającego wstrzymać ukraiński import. W istocie jednak i Jarosław Kaczyński (formalnie będący przecież tylko szeregowym posłem), i rząd Mateusza Morawieckiego nie zrobili niczego. Najpierw okazało się, że zakaz nie obowiązuje, bo... nie zgadza się na niego strona ukraińska. Potem powołano się na upomnienie Komisji Europejskiej przypominającej, że Wspólna Polityka Handlowa jest prerogatywą wspólnotową, nie krajową. Wreszcie zaś poinformowano o rzekomym zwycięstwie, to jest formalnej zamianie importu na tranzyt przez Polskę. Tyle tylko, że ukraińskie zboże już w ubiegłym roku zaczęło wjeżdżać na nasz rynek niby to tranzytem, jako „odciążenie czarnomorskich portów”, „pomoc dla głodującej Afryki” itp., a i tak ostatecznie skończyło, zapełniając polskie spichrze.

Nie jest to zresztą problem nowy, bo przecież bezcłowy kontyngent wprowadzono w obrotach UE-Ukraina już w 2014 roku, gdy po Euromajdanie na ukraińskim rynku zaczęły operować zachodnie firmy najpierw hurtu rolno-spożywczego, a następnie także przemysłowej produkcji rolnej, oczywiście pierwotnie zakamuflowane jako „dzierżawcy” i joint-ventures z udziałem ukraińskich oligarchów. Jest też bowiem zupełnie oczywiste, że tak jak polscy rolnicy tracą na sporze zbożowym z Ukrainą, tak ukraińscy producenci wcale na nim nie zarabiają, bowiem wszelkie zyski i z produkcji, i zwłaszcza handlu i pośrednictwa są następnie odprowadzone na Zachód, na konta międzynarodowych korporacji.

Nie-pokój brzeski

O ile zatem można zakładać, że ochrona rynku uda się zapewne prowadzącym względnie samodzielną politykę Węgrom, być może powiedzie się Słowakom, oczywiście o ile jeśli mądrze zagłosują w wyborach parlamentarnych we wrześniu 2023 roku, to spośród reszty zainteresowanych narodów Bułgarzy musieliby najpierw wyjść z kryzysu parlamentarnego, natomiast Polacy i Rumunii w obecnym lub nawet jakimś możliwym alternatywnym

układzie rządowo-opozycyjnym nie mają większych szans na postawienie zgodnych z interesami narodowymi barier dla kapitału zachodniego operującego w konkurencyjnych dla nas branżach z Ukrainy. Nie jest to bowiem kwestia formalnego sporu z UE o kompetencje, tylko woli politycznej. Nawet w ramach istniejących przepisów wystarczyłyby konsekwentne działania polskich służb celnych i Inspekcji Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych, by rolno-spożywczy import z Ukrainy praktycznie sparaliżować. Taka decyzja jednak nie może zapaść ani w Warszawie, ani w Bukareszcie, zaś Waszyngton i Londyn jej przecież nie podejmą. Polska i Ukraina mają pozostać dla hegemonów skansenem, spichlerzem, rezerwuarem taniej siły roboczej i źródłem poboru rekruta – faktycznie zatem nasze oba narody zostały cofnięte do rzeczywistości Pokoju Brzeskiego z 1918 roku, tylko z Anglosasami w miejsce kajzerowskich Niemiec, no i z wojną wciąż trwającą na Wschodzie.

Drobne kradzieże i złośliwości, czyli jak to między sąsiadami

Póki co, pomiędzy Polską a Rosją to szczęśliwie nadal tylko wojna retoryczna, prowadzona głównie na oświadczenia, ubarwiana takimi wyskokami, jak zagrabienie przez rząd RP kont ambasady Federacji Rosyjskiej czy zajazd na rosyjską szkołę w Warszawie. Były to oczywiście poważne naruszenia samych podstaw stosunków dyplomatycznych, z „Konwencją wiedeńską” na czele, jednak oburzający się Rosjanie nie spodziewają się, chyba że władze polskie tak uparcie rabując własnych obywateli – akurat dla gości ze Wschodu zrobią wyjątek?

Pomimo jednak tak wrogich gestów, należy przyznać, że wciąż dominują raczej ostre, często niemądre słowa. Cóż, jesteśmy Słowianami. Co na sercu, to na języku, przeważnie bez angażowania rozumu. A jak już się wykrzyczymy, to nam przeważnie przechodzi i gdyby tylko była okazja wspólnego

biesiadowania, wszystkie grzechy i słowa wypowiedziane w gniewie łatwo poszłyby w zapomnienie. Ponieważ jednak na wielką dwunarodową biesiadę na zgodę raczej się nie zanosí, należy zauważyć, że jeśli do wojny polsko-rosyjskiej dojdzie, to przecież nie na Twitterze, nie dlatego, że były prezydent Dmitrij Miedwiediew bywa złośliwie dowcipny, albo polscy posłowie jakoś wyjątkowo obrażalscy. Rozkaz wojny nie przyjdzie ani z Moskwy, bo ta jej przecież nie chce, ani z Warszawy, bo ta rozkazów nie wydaje – tylko z Londynu i Waszyngtonu. I wtedy tylko, kiedy będzie to odpowiadać interesom Anglosasów. Zamieszanie retoryczne to tylko zasłona dymna dla realnych interesów, rozgrywanych ponad głowami i wbrew interesom wszystkich zainteresowanych słowiańskich narodów.

Wojna

Tym bardziej jednak polsko-rosyjski konflikt zbrojny powinniśmy uważać za możliwy, bo przecież nader łatwo można sobie wyobrazić nakazany przez Anglosasów polski atak na Białoruś, podobnie jak i wejście wojsk polskich do Lwowa „dla zapewnienia ochrony tamtejszej ludności ukraińskiej przed rosyjską agresją”, co również oznaczałoby docelowo stworzenie frontu polsko-rosyjskiego. Nie trzeba też dodawać, że takie działania, wykonane rękoma Polaków, byłyby katastrofą dla Polski. Powinniśmy wrócić do Lwowa, ale jako gospodarze, a nie jako bodyguardzi banderowców. Z Białorusią łączy nas nie tylko historia i przenikanie naszych kultur, ale i wymierne interesy gospodarcze i handlowe, właśnie niestety zaprzepaszczone. Rosja jest wreszcie naszym naturalnym partnerem ekonomicznym, a mogłaby być także cennym sojusznikiem, gdybyśmy wreszcie zdecydowali się iść własną drogą geopolityczną i cywilizacyjną, poza wpływami kolonizującego nas Zachodu. Oczywiście takie optymistyczne scenariusze są obecnie niemal do uwierzenia.

Alternatywą znacznie bardziej prawdopodobną jest więc wojna.

Autorstwo: Konrad Rękas

Źródło: MyslPolska.info